

...i znowu będzie wiosna!

IV. Długie lato

Dzisiaj, w pierwszym dniu kolejnego nowego roku, roku 2020, wędrując z psem sennymi, mimo zbliżającego się południa, ulicami mojego osiedla, staram się zrobić sobie przyjemność wspomnianiem minionych sylwestrowych przeżyć. Pogodnie przyglądam się mojemu miastu, wyrównującemu swoje energetyczne straty po uniesieniach i żywiołowych szaleństwach sylwestrowych zabaw. Zazwyczaj na styku starego i nowego roku, bawiąc się z gronem przyjaciół, bywałem jak balon wypełniony szczęściem, energią, radością i poczuciem braterskiej wspólnoty z całym wszechświatem – jak balon grożący w każdej chwili pęknięciem. Pęknięcia nie było, a z balona nad ranem w niezrozumiały sposób uchodziła cała euforia i sflaczały opadał na twardy grunt życiowej codzienności. Nowy rok zaczynał się posylwestrową depresją psychiczną i fizycznym zmęczeniem.

Wiele było hucznych, eleganckich, albo po prostu miłych, powitań kolejnego nowego roku. Najcieplej wspomynam jedno. Było to sylwestrowe spotkanie u Pana Miecicia, dozorczy w dużym bloku „desce”, w którym mieszkaliśmy na dziewiątym piętrze. Pan Miecicio zaprosił nas do siebie. Mieszkał z żoną i psiną Diną w małym mieszkanku na parterze. Była z nami jeszcze jedna para z sąsiedniego bloku. Sylwestrowy wieczór upływał w miłym, spokojnym, wprost rodzinnym nastroju. Mówiliśmy o sobie, o swoim życiu, o marzeniach. Była to jedna z chwil, kiedy słucha się kogoś z uwagą, czyli nie po to tylko, żeby zauważyć, kiedy skończy, by mówić znowu o sobie. Miecicio nic nie mówił o ojcu. Mówił o swojej matce, którą kochał bez wzajemności. Był dla niej ciężarem, którego nie mogła znieść i dawała mu to odczuć, aż kiedyś w napadzie furii wyгнаła go z domu. Wystraszony, kilkuletni chłopiec uciekł do lasu i tam błąkał się przez miesiąc. Przypadkowo znaleziony trafił do domu dziecka, gdzie nie znalazł ciepła ani poczucia bezpieczeństwa, więc i stamtąd uciekł. Był poszukiwany i odnaleziony już po kilku dniach. Przekazano go rodzinie zastępczej. Znalazł tam namiastkę rodzicielskiej miłości i warunki do ukończenia szkoły podstawowej a następnie zawodowej. Życie nauczyło go być wojowniczym, zaradnym i ostrożnym. Szukając kogoś, z kim mógłby razem dzielić życie, spotkał dziewczynę, która czuła się odrzucona przez swoich rodziców i rodzeństwo, bo była mniej zaradna. Najbliżsi z niechęcią przyznawali wobec obcych, że należy do ich rodziny. Bolesne poczucie odrzucenia i potrzeba bycia przyjętym przez innego człowieka, któremu można zaufać, który nie porzuci w czasie trudnej próby, złączyła oboje. Nie mieli dzieci i pies był stworzeniem, które pozwalało im uzewnętrzniać ich pozytywne emocje. Gdy zegary i butelka szampana wybiły północ, czuliśmy się jak jedna, rozumiejąca się rodzina. Dzień świętego Sylwestra, ostatni dzień roku, przyćmił kolejnego solenizanta. Prawie zapomnieliśmy, że pierwszy dzień stycznia to dzień imienin Mieczysława. Pan Miecicio rozpromienił się, gdy sobie nagle o tym przypomnieliśmy, choć pewnie był już do tego przyzwyczajony, że potęga Sylwestra i zmęczenie w kolejnym dniu zaburzają pamięć i uwagę świętującego otoczenia o kolejnym solenizancie. Do zawołania „z Nowym Rokiem nowe szczęście” pan Mieczysław podchodził z nabytą doświadczeniem własnym rezerwą. Oczywiście, wszyscy życzyliśmy szczerze Mieciciowi zdrowia i wszystkiego najlepszego. Życzenia, nawet te najlepsze, jednak nie mają zazwyczaj mocy sprawczej. W kilka lat po wspólnym Sylwestrze Miecicio zachorował. Silne bóle brzucha, typowe dla choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy, początkowo ustępowały po leczeniu zachowawczym, ale leczenie stawało się coraz mniej skuteczne. W tym czasie wprowadzano w Polsce nowy lek na dolegliwości żołądkowe. Lek był drogi, ale była możliwość skorzystania z nowego leczenia w ramach badań klinicznych, koniecznych dla oceny leku, przed dopuszczeniem go do stosowania w Polsce. Próba włączenia pana Mieczysława do badań zakończyła się niepowodzeniem już na etapie kwalifikacji. Wyeliminowało z szansy na leczenie eksperymentalne pytanie: *Czy wy wiecie, ile to kosztuje?!* Nikt nie wiedział, ale wszyscy domyślili się, że więcej niż kandydat na królika doświadczalnego mógłby zapłacić. Hartowany od dzieciństwa nie tyle przez los, co przez innych ludzi Miecicio, odczuł gorzkość kolejnego odrzucenia. Ktoś sprowadził jednak dla niego wymarzony lek. Wymarzony lek jednak niewiele zmienił, poza chwilowym powrotem nadziei na odzyskanie zdrowia. Okazało się, że przyczyną bólow jest błyskawicznie postępujący rak żołądka nie dający jakichkolwiek szans na pomyślne leczenie chirurgiczne. Byłem wiele miesięcy poza Polską, ale zdążyłem wrócić na krótko przed jego śmiercią. Czekał. Chciał jeszcze usłyszeć słowa pociechy, chciał jeszcze zobaczyć iskierkę nadziei. Nie zapomnę naszej rozmowy. Nie chciałem go okłamywać,



bo tyle razy w życiu był już okłamany i po kłamstwach pozostały rany w jego świadomości, przykryte cienkimi warstwami zapomnienia. Nie chciałem też zabierać mu nadziei. Wiedział doskonale, że umiera. Podziękowałem mu za wszystko, co dobrego przyjąłem z jego życia, z jego codziennych gestów życzliwości i pomocy i mnie, i innym napotykanym ludziom. Powiedziałem mu, że wierzę, wierzę bardzo, że to wszystko nie jest końcem. Powiedziałem mu, że wierzę, że za jakiś czas spotkamy się znowu. Wierzyłem wtedy, wierzę teraz i bardzo chciałbym znowu się z nim spotkać. Z wyglądu był mizerotą, z ducha siłaczem. Był mądrym i dobrym człowiekiem. Jego żona wierzyła, że po jego odejściu świat wokół niej pozostanie przyjazny i pogodny. Wygasło przecież narastające obok cierpienie i niemoc jego znoszenia. Wierzyła, że dorosłe, dalsze ustabilizowane życie przyniesie jej ulgę i nowe nadzieje. Nie przyniosło. W niecałe dwa lata po śmierci męża odebrała sobie życie. Nie wiem co było bezpośrednią przyczyną. Myślę, że zabrakło poczucia bliskości kochającego człowieka. Kochającego, więc szanującego, współczującego, troszczącego się, stanowiącego wsparcie i podtrzymującego nadzieję na przetrwanie trudnych prób losu. Wdowę otoczyło współczucie rodziny, sąsiadów i znajomych w pierwszych tygodniach po śmierci męża, znanego i lubianego. Współczucie i zainteresowanie losem wdowy z czasem wyblakło. Zatarła je obojętność wszystkich, zajętych załatwianiem swoich codziennych spraw. Pustki w osobistym życiu, jaka powstała po odejściu bliskiej osoby, bliskiej codzienną zwykłością, która miała trwać zawsze, nie wypełnił nikt i nic. Zapewne znowu pojawiło się poczucie odrzucenia i przekonanie o bezsensie dalszego życia.

Czasami pustkę emocjonalną wypełnia inny człowiek, czasami ucieczka w obszary łatwej ułudy przyjemności, namiastki szczęścia a czasami świadome przewartościowanie swojego życia i dostrzeżenie jego wartości ponadczasowej. Głęboka wiara w sens istnienia życia, swojego życia, jest niezbędna jak stały dopływ energii. Wiara i nadzieja stanowią swoistą energię potencjalną człowieka. Człowiek, który zdaje się być mało znaczącą jednostką na Ziemi i w całym Wszechświecie, niknącą pośród miliardów ludzi; tych żyjących, tych, co odeszli i tych, co jeszcze czekają na swoją kolej do włączenia w ludzką rodzinę, jest zarazem kimś wyjątkowym i niepowtarzalnym. Tę wyjątkowość i niepowtarzalność daje mu poczucie bycia kochanym i umiejętność kochania. Wiedza i rozum nie wystarczają normalnemu człowiekowi. Sam rozum bez miłości byłby jak sprawny księgowy, który zapewniałby maksymalizację egoistycznych korzyści przy najniższych z możliwych kosztów na teraz. Czysty rozum kalkulując wartość więzi społecznych chroniłby przed miłością. Miłość w ocenie racjonalnego, lecz pozbawionego uczuć egoisty jest czymś złym. Wyliczenia człowieka, który kocha są inne. W jego pojęciu zysku mieszczą się i osobiste straty materialne, i cierpienie, i ból, i odwaga wybaczenia, jeśli służą dobru innego człowieka, człowieka kochanego.

Oglądając się dzisiaj za siebie wiem, że choć zdałem egzaminy dojrzałości i wiele innych sprawdzianów wiedzy, to jednak wchodząc w dorosłe życie wcale nie byłem dorosły. We własnej ocenie poczułem się dorosły, kiedy ukończyłem 36 lat życia i poznałem gorzkie kłamstwa, oszustwa, zdrady, poniżania i lekceważenia. Czyniły dorosłym rozczarowania i gorzko odbierane poczucie własnej ograniczoności. Wejście w dorosłe życie zawodowe zdawało się być otwarciem ciekawej, kolorowej książki z bajkami.

Wejście, wspicie się, czy upadek na platformę dorosłego życia?

Różnie to bywa. Nieodżałowanej pamięci, bohaterski pan Mieczysław musiał sam pokonać wiele przeszkód, odnieść wiele ran nim doszedł do etapu dorosłości i mniejszej zależności od otoczenia. Żyjąc z żoną i pieskiem w swoim małym mieszkanku zdawał się być szczęśliwy. Jego pogodne zachowanie dowodziło, że osiągnięcie platformy dorosłego życia po trudach mozolnej wspinaczki sprawiło mu zadowolenie i podtrzymywało radość istnienia. Bywałem w przeszłości świadkiem gwałtownego upadku na platformę dorosłego życia młodych ludzi, wychowywanych „bezsstresowo”, w warunkach stałego dobrobytu i spełniania wszystkich egoistycznych zachcianek w dzieciństwie i wczesnej młodości. Pierwsze przeszkody w dorosłym życiu powodowały załamanie. Pamiętam poruszenie w rodzinnym miasteczku, gdy powiesił się młody człowiek, jedynak z dostatniego „dobrego domu”, gdy dostał kosza od uroczej panny, którą upatrzył sobie na osobistą własność i ozdobny dodatek do własnej wspaniałości. Historii załamań niezahartowanych wcześniej młodych ludzi spotkałem później w życiu znacznie więcej. Myślę, że dla większości młodzieży, podobnie jak dla mnie, oczekiwanie wejścia w samodzielną dorosłość było oczekiwaniem dojścia do Ziemi Obiecanej. Niestety, już samo przejście z pozwalającej na wszechstronny rozwój umysłowy szkoły średniej do uczelni medycznej było rozczarowaniem. Skupienie uwagi na statycznie widzianej,

szczególowej anatomii ciała, jego chemii, fizyce, z naciskiem na zapamiętywanie elementów nieruchomego obrazu człowieka w zdrowiu lub chorobie, promowało mechaniczne zapamiętywanie. Niedostateczną uwagę zwracano na dynamizm zmian ciała żyjącego człowieka, a jeszcze mniejszą na jego współzależność z psychiką i duchowością. Niedostateczne ćwiczenie umiejętności logicznego myślenia i wnioskowania można było wyrównywać własnymi poszukiwaniami w oparciu o trudno dostępne jeszcze w latach sześćdziesiątych minionego wieku obcojęzyczne źródła naukowe. Odbierając dyplom lekarza byłem wyposażony w wiedzę teoretyczną, nie byłem natomiast przygotowany do wykorzystania tej wiedzy w spotkaniu z ludźmi chorymi. Na to miałem dwa lata stażu podyplomowego i kilka lat podyplomowego kształcenia specjalistycznego. Rozpocząłem staż kierunkowy z zakresu chorób wewnętrznych, niepewny swojej wiedzy i umiejętności. Podejrzewam, że chorzy też nie byli pewni sprawności młodego lekarza. Jednym z pierwszych chorych, którego zapamiętałem z wczesnego okresu pracy w klinice hematologii w Poznaniu był pan w średnim wieku z zanikiem szpiku i koniecznością częstych przetoczeń krwi oraz częstych jej badań. Wymagało to regularnego dokonywania nakłuć mocno sfatygowanych już żył. Chory boleśnie odczuwał dochodzenie do wprawy w nakłuwaniu żył młodego lekarza. Jego choroba miała charakter przewlekły, postępujący. Z ulgą opuszczał szpital, by do niego wracać po kilku tygodniach. Drugi raz spotkałem go właśnie w czasie jego kolejnego powrotu. Gdy wszedł do sali chorych, gdzie miał przebywać, zobaczył swój koszmar z poprzedniego pobytu, czyli mnie. Zbladł, obrócił się i wypadł na korytarz a dalej do gabinetu ordynatora, z prośbą o przeniesienie do innej sali. Niestety, w żadnej innej sali nie było wolnego miejsca. Chory, którego się kiedyś bałem ze względu na jego fatalne żyły i który bał się mnie, ze względu na moje fatalne umiejętności, nie docenił swojej nauczycielskiej roli ani zdolności uczenia się młodego lekarza, którego wymagający los przyprowadził mu na szkolenie. Byłem już innym lekarzem. Do dzisiaj wiele mówi się o dzielnych lekarzach, a znacznie mniej o jeszcze dzielniejszych chorych oraz roli ich cierpień i poświęceń dla kształcenia lekarzy i rozwoju medycyny. Znaczenie bohaterstwa ludzi chorych, przyczyniających się nie mniej niż lekarze naukowcy do ciągłego zwiększania skuteczności medycyny i jej rzeczywistych sukcesów, podkreślił niemiecki pisarz, Jürgen Thorwald w książce „Pacjenci” [1].

Wejście mojego rocznika młodych dorosłych w świat jeszcze bardziej dorosłych okazywał się często przykrą niespodzianką. Bagaż ideałów, wyniesionych z domu i kolejnych szkół nie ułatwiał szybkiego wymoszczenia sobie wygodnej i bezpiecznej niszy ekologicznej. Szczerość, ufność, prawdomówność częściej były karane niż nagradzane. Świat mimo to zdawał się być piękny, ciekawy i obiecujący coraz lepszą przyszłość. Po pierwszych lekcjach pokory, udzielonych przez dorosłych, znających reguły gry w środowisku, do którego trafialiśmy, nauczyłem się i ja, i mój rocznik, ostrożności w ujawnianiu swoich myśli i opinii. Doszliśmy do przekonania, że z ukończeniem szkół nie skończyła się edukacja. Ta najważniejsza w największej szkole, w której nic nie jest na niby i z której nie można wrócić, by bezpiecznie schronić się w domu, dopiero się rozpoczynała. Ta szkoła była jednocześnie wielkim domem, w którym nie było się pupilkiem i własny los w dużej mierze zależał nie tylko od własnych wysiłków, ale i od nastawienia wszystkich mieszkańców tego domu. Świat, w którym uczyliśmy się żyć samodzielnie, był i jest do dzisiaj naszym wielkim uniwersytetem. Szkoła życia jest najbardziej wymagającą szkołą. Zaczęliśmy wszyscy przyglądać się uważnie otoczeniu i każdy bezwiednie za swój ideał, za drogowskaz do udanego życia, wybierał sobie kogoś w otoczeniu, kto robił na nim najlepsze wrażenie. Ideałem, choć o tym sam ideał najczęściej nie wiedział, był ktoś, kto mógł być uznany za przykład życiowego sukcesu. Bywał to chirurg, który szybko operował i rzucał „mięsem” oraz narzędziami chirurgicznymi, czasami pani doktor podziwiana przez otoczenie za wygląd i dystygnowane zachowanie, czasami ktoś, kto z radością życia nie szczędził swego czasu dla chorych i dla rozwijania swych umiejętności. Idolami byli błyskotliwi dorośli, szybko pnący się po szczeblach kariery, ale byli też wzorcami lekarze, do których łągnęli chorzy i studenci medycyny, wyczuwając w nich szczerość i życzliwość. Dla każdego z naszych wzorców źródłem okazywanego zadowolenia z siebie i swoich osiągnięć było dosięgnięcie wartości, które uznawał sam za najistotniejsze w życiu lekarza i w życiu w ogóle. Mieliśmy wszyscy wybór i każdy z nas starał się naśladować swego mistrza lub swoją mistrzynię najlepiej jak potrafił. Nie zawsze się to udawało i często w naśladowaniu mistrza przejmowane były cechy łatwiejsze do nauczenia niż te trudne, wymagające cierpliwości i wytrwałych ćwiczeń. Tak więc bywało wielu młodych chirurgów, zachowujących się arogancko, ale kiepsko wykonujących zabiegi, albo wystrojonych i dumnych koleżanek, zwracających bardziej uwagę na swój wygląd niż na wygląd i stan chorego. Trzeba było też uważać, by młodzieńczym entuzjazmem i otwartością nie naruszyć zwyczajów ludzkiej gromady, do której się trafiło. Żeby popaść w niełaskę szefa grupy lub całej grupy,

wystarczyło powiedzieć uwagę w sposób swobodny, nieobrażający nikogo, by zostać napiętnowanym jako osoba niefrasobliwa, nieodpowiedzialna i naruszająca etos grupy. Kiedyś, w czasie porannej herbatki w dyżurce lekarskiej, dwie panie dyskutowały o kimś, kto rozchorował się i zmarł, a był taki młody, bo miał dopiero czterdzieści kilka lat. Parsknęliśmy z kolegą śmiechem, uznając wypowiedź za dowcipną, ale spojrzenie starszych koleżanek natychmiast nas zmroziło. Dotarło do nas, dwudziestoczworoletków, że nasze koleżanki też bliżej mają do półwiecza niż ćwierćwiecza. Uczeni nieprzyjemnymi doświadczeniami stawaliśmy się ostrożniejsi. Mieliliśmy dyplomy lekarza, ale nie czuliśmy się jeszcze pełnymi lekarzami. Przed nami otwierały się nowe możliwości i pojawiały się nowe przeszkody. Trzeba było znaleźć miejsce, w którym można się będzie najlepiej rozwijać i zdążać do wybranego celu. Wybór celu zawodowego życia i miejsca, z którego najlepiej wystartować nie był nigdy łatwy. Rozterki, jakie przeżywają współcześni absolwenci wydziałów lekarskich w Polsce, znane już były kolegom zaczynającym pracę w latach siedemdziesiątych minionego stulecia. Chyba nikt z nas nie wiedział, czym się kierować, by nie zbłądzić i nie doprowadzić do katastrofy w życiu zawodowym. O sensie życia w ogólności i o tym, że biegnie ono ku nieuchronnemu zakończeniu oraz że dotyczy to też nas osobiście, nie rozmawialiśmy. To były dla nas, na początku lekarskiego życia, zagadnienia zbyt odległe. Codziennie trzeba było podejmować wiele decyzji. Decyzje dotyczyły własnych spraw i dotyczyły losów innych ludzi. Wszystkie decyzje były ważne, choć czasami zdawało się, że dotyczą banalnych spraw i przez to nie mają większego znaczenia dla losów innego człowieka.

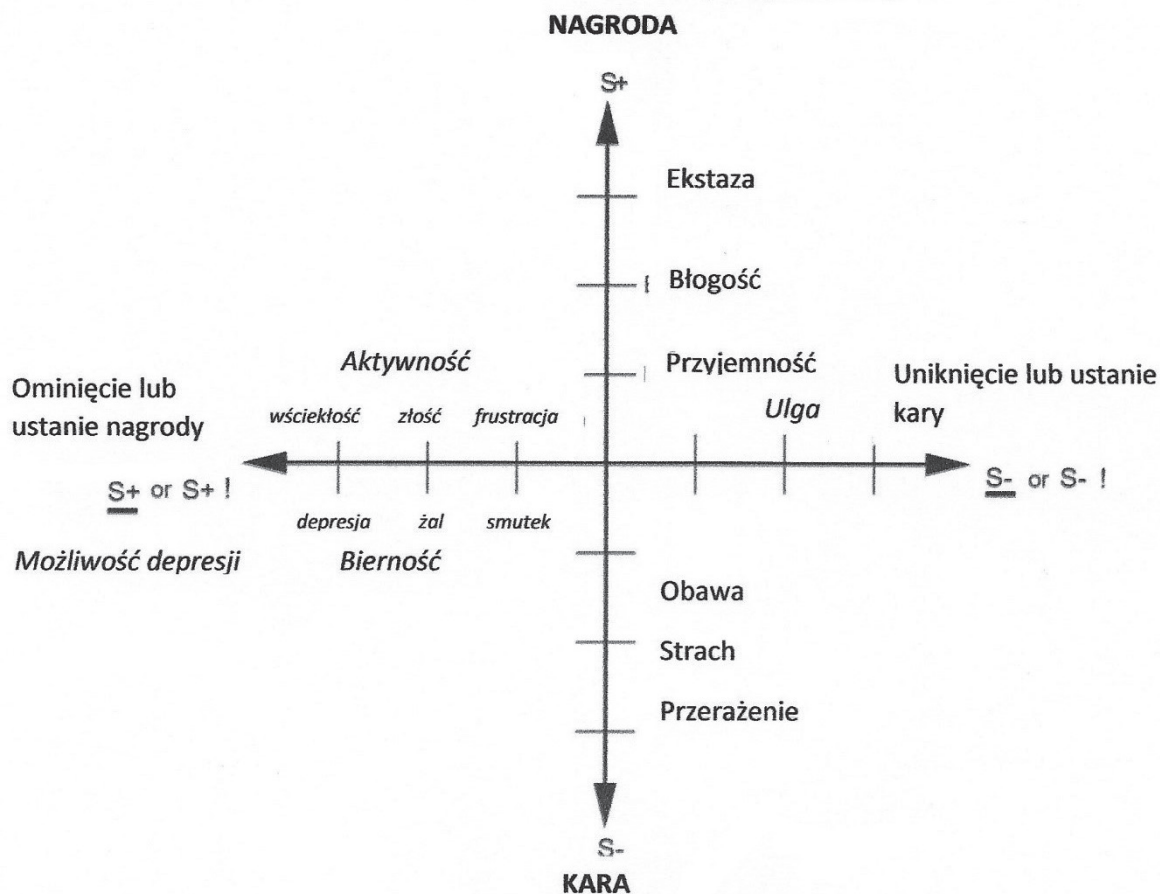
Ciągła potrzeba wartościowania siebie, zmiennych okoliczności i celów

W dzieciństwie dobre samopoczucie i radość życia zapewniało suche, ciepłe otoczenie, brak głodu i pragnienia oraz okazywane przez rodziców życzliwe zainteresowanie, uśmiech, przytulenie. Rozwój możliwości ruchowych i poznawanie świata miało napęd automatyczny. Kolejne, we właściwym czasie i przy właściwych warunkach uruchamiane instrukcje z biblioteki genów, prowadziły do właściwych działań, zapewniających prawidłowy rozwój. Dziecko podświadomie i z współdziałaniem świadomości robi to, co dla przeżycia i rozwoju jest potrzebne. W dojrzewaniu i dorosłości życie w społeczeństwie i wrastanie w to społeczeństwo wymaga już większego zaangażowania świadomości. Do podejmowania decyzji na bezludnej wyspie wystarczy muszą człowiekowi sprawne zmysły, wiedza odziedziczona, nabyta i umiejętność szybkiego uczenia się. Zdolność rozumowania i podstawowe emocje: strachu, bólu, sytości, zadowolenia, radości, powinny wystarczyć do przeżycia. Nie wystarczają jednak, by czuć się bezpieczniejszym i szczęśliwszym. Do tego potrzebny jest drugi człowiek. Potrzebna jest możliwość bycia wśród ludzi. Gdyby człowiek zadowalał się swą samotnością historia ludzkości byłaby krótka. My ludzie, jesteśmy stworzeni do tego, by być wspólnotą, wspólnie sobie pomagać, wspólnie się uczyć i wspólnie rozwijać. Brzmi to może pompatyczne, ale nikogo nie trzeba przecież przekonywać, nawet w szpitalach, że większymi możliwościami zachowania życia i rozwoju dysponuje zazwyczaj zespół ludzi. W zespole przeżycie jest łatwiejsze, natomiast zachowanie swojej osobistej niezależności jest trudniejsze. Społeczne MY składa się z dynamicznego zbioru niecierpliwych JA, które bez przerwy wchodzą ze sobą w różne układy wzajemnych oddziaływań, z których każde JA chce wyjść z jakąś korzyścią. Uchodząc cało z bezludnej wyspy na zaludniony ląd, trzeba być zabezpieczonym w dodatkową umiejętność – umiejętność świadomego rozpoznania stanu świadomości – a z tym i zamiarów innej osoby. Ocena stanu umysłu człowieka, do którego się zwracamy, przebiega dwutorowo; automatycznie reagujemy na zmiany wyrazu twarzy oraz brzmienia głosu, sposobu mówienia i mowę ciała z jednej strony, a z drugiej oceniamy to, co mówi i jak się zachowuje w określonej sytuacji. Ten pierwszy tor oceny jest szybki, odruchowy i nie wymaga większego wysiłku świadomości. Jest to nasze pierwsze wrażenie. Drugi tor oceny jest dłuższy, bo wymaga analizy treści wypowiedzi i jakości zachowania się w określonych warunkach obserwowanego człowieka. Wzajemna ocena stanów umysłu jest w ostatnich dziesięcioleciach przedmiotem badań neuronauk, filozofii i nauk społecznych [2]. Profesor Rolls z Oksfordzkiego Ośrodka Neuronauk Obliczeniowych w Warwick w swojej pracy poglądowej podkreślił znaczenie emocji w odruchowym podejmowaniu decyzji. Obrazuje to diagram na rycinie 1, zapożyczony z jego publikacji. Emocjonalność wpływa też na drugi, racjonalny wybór strategii działania długofalowego. Autor publikacji dla zainteresowanych ekonomią behawioralną, a więc ekonomistów zajmujących się wpływem osobniczych ludzkich motywacji na ekonomię światową, uznał, że logiczne rozumowanie jest wśród ludzi rzadkością. Logiczne myślenie nie jest wynikiem odruchowego działania w OUN, systemu podobnego do układu „nagroda-kara”. Jest wynikiem

uciążliwej pracy rozumowania, w oparciu o mowę i jej zapisy, selekcję informacji, ich wartościowanie a następnie, w oparciu o ich ocenę, z ostatecznym wnioskowaniem co do wyboru celu i sposobu działania [3]. Emocje i w tym układzie mają duże znaczenie. Bezpieczeństwo jednego człowieka mieści się w bezpieczeństwie społeczności, w której się wzrasta. Wewnętrzny system szybkich decyzji, warunkowanych spodziewaną nagrodą lub karą jest podstawowym, ale niedostatecznym dla współżycia z innymi ludźmi. Wymogiem własnego dobra, związanego z dobrem społeczności, z którą się utożsamia, bywa gotowość rezygnacji z nagrody lub poddanie się karze, jeśli w wyniku tego samopoświęcenia korzyść odniosą inne osoby, ważne dla poświęcającego się.

Od starożytności do dzisiaj trwają dyskusje, czy człowiek jest z natury dobry, czy zły. Nagromadzona w ostatnich latach wiedza podpowiada, że człowiek jest naturalnie przygotowany do posługiwania się dla dobra własnego i ogólnego prawdą, życzliwością i współczuciem. Człowiek w okresie rozwoju płodowego, zabezpiecza jak może sprawność i bezpieczeństwo swojej matki, od której zależy jego przyjsie na świat i rozwój we wczesnym dzieciństwie [4]. Matka rezygnuje dla dziecka z wygody swego życia. Dziecko wzmacnia psychiczną więź z matką w czasie rozwoju, zwłaszcza w piątym miesiącu życia. W siódmym rozpoznaje odbicia emocji na twarzach widzianych ludzi, zwłaszcza silnie reaguje na wyraz lęku. Im więcej rozpoznaje wokół siebie lęku i strachu, tym żywiej w wieku 1,5 do dwu lat angażuje się w pomoc dorosłym [5]. Wzruszający obraz ufne go dziecka, pomagający dorosłemu podnieść coś, co upadło lub zmartwionego jego trudnościami może być tłumaczony wrodzoną dbałością o swoją przyszłość w grupie, a nie bezinteresownym współczuciem dla innego człowieka, który potrzebuje pomocy. Mimo biologicznego racjonalizmu i próby lekceważenie wrażliwości dziecka na nieszczęście lub tylko kłopoty innego człowieka, budzi ona uznanie i tęsknotę za tym, co dobre i piękne. Dziecięca reakcja pomocy zdaje się być dowodem wrodzonego przygotowania człowieka do bycia szczerym i dobrym dla innych [6,7]. Wskazywanie przez neurofizjologów mechanizmów neurologicznych, a przez psychologów osobistych korzyści odległych, nie umniejsza wartości moralnej współczucia i prospołecznych postaw dzieci i dorosłych. Dobro w tym świecie przekracza granicę samolubnego JA i z osoby rozciąga się na innych ludzi, jako mądrość miłości – miłości jako szacunku i chęci wspierania kochanych w ich trudnych chwilach. Wrodzone mechanizmy są dobre i wrodzona dobroć nie jest głupotą. Nabywać zaś można w życiu mądrość, ale jeszcze łatwiej jej przeciwieństwo. Kłamać, oszukiwać i dbać tylko o siebie uczymy się później. Trafia się w życiu nie tylko na dobrych nauczycieli, ale i na takich, którzy zmieniają dobrą, uczciwą, serdeczną psychikę dziecka na psychikę zimnego, przebiegłego cwaniaka, który wie, jak używać innych ludzi dla swoich korzyści, nie dając im w zamian nic, poza drwiną i lekceważeniem. Okazuje się, że nawet największy cynik, kłamacz i oszust, gdy zachoruje, chce spotkać lekarza mądrego, doświadczonego, skutecznego, a przy tym dziecięco ufne go. Dobrą pielęgniarką, terapeutą, lekarzem pozostają ci, u których dziecięca uczynność i prostolinijność przetrwały do dorosłego życia i w tym dorosłym życiu pozostały istotnym motywem działania.

Emocje w odpowiedzi na nagrodę lub karę



Rycina 1. Emocje jako modulator decyzji opartej na wartościowaniu neurologicznym układem nagrody i kary (zapożyczone od prof. E.T. Rolls'a [3])

Przykłady stanów emocjonalnych związanych z różnym wzmocnieniem możliwości. Natężenie emocji wzrasta w miarę oddalania się od środka skali ciągłej. Schemat uwidacznia jak emocjonalna odpowiedź na różnorakie wzmocnienia możliwości wywołać może stan motywujący do (1) podjęcia działania dla uzyskania nagrody (S+), (2) działania w celu uniknięcia kary (S-), (3) zdecydowania o podjęciu lub niepodjęciu działania wobec ominięcia nagrody (S+), wydłużenia lub zakończenia bycia nagradzonym (S+!) (przeterminowanie) oraz (4) podjęcia lub powstrzymania od działania wobec uniknięcia kary (S-) lub ucieczki przed karą, bądź od kary (S-!). Na osi pionowej zaznaczono stany emocjonalne, związane z nagradzaniem (górze) lub karaniem (dół). Na osi poziomej po stronie lewej ujęto stany emocjonalne związane z brakiem spodziewanej nagrody, a po prawej stany wywołane brakiem spodziewanej kary. W sytuacji braku nagrody (lewa część osi poziomej) – wzbudzone są różne emocje, w zależności od tego, czy odpowiedź na brak spodziewanej nagrody jest czynna, czy bierna. Diagram nie uwzględnia teorii przestrzennej emocji, a jedynie wskazuje stany emocjonalne, wywołane swoistym wzmocnieniem [3].

Trudno znaleźć swoje miejsce do życia

W miarę bezpieczne miejsce do życia trudno jest znaleźć roślinom, grzybom, wirusom, bakteriom a i niełatwo człowiekowi. Bezpiecznym domem był dom rodzinny, wesołym domem był akademik, własny dom pozostawał

w sferze marzeń przez pierwsze lata po studiach. Byłby rzeczywistością, gdybym wrócił do rodzinnego miasteczka. Wybrałem jednak życie „słoika”, jakim się dzisiaj pogardliwie określa nowych mieszczan, pochodzących ze wsi lub miasteczek. Motywem pozostania w miejscu studiów była uczelnia, biblioteki, przyciągające powabem nieodkrytych tajemnic. Ciekawość wygrała ze skłonnością do codziennej wygody. Może była to też podświadoma obawa, że nie jestem jeszcze dostatecznie przygotowany do bardziej samodzielnej pracy lekarza stażysty. Z akademika wywędrowałem do kolejno wynajmowanych pokoi. Głód mieszkań był wielkim problemem w Polsce lat siedemdziesiątych. Wynajmowano pokoje sublokatorom ostrożnie, czyli bez możliwości zameldowania. Zameldowany stawał się współgospodarzem i zaczynał być utrapieniem dla udzielających gościny. Odbiciem mieszkaniowych dramatów jest sympatyczna komedia filmowa z 1974 r. „Nie ma róży bez ognia”. Jeden z moich starszych, bezdomnych kolegów lekarzy stanął przed komisją konkursową, wybierającą gospodarza domu w jednym z nowych bloków mieszkaniowych. W grę wchodziło mieszkanie służbowe. Doktor medycyny i specjalista chorób wewnętrznych opadł w przedbiegach, bo komisja uznała, że nie ma kwalifikacji.

Moim domem stały się szpitale, w których pracowałem jako stażysta i we własnej wizji jako przyszły kardiolog. Choć doskwierała czasami świadomość braku swojego dachu nad głową, mieszkanie było mniej ważne niż to, co działo się w szpitalach i to, co skrywały biblioteki. Bywały momenty uzalania się nad sobą za brak swego bezpiecznego miejsca i bezpiecznej pensji. W jednym z takich okresów z zespołem karetki „R” zostałem wezwany do wypadku. Mężczyzna potrącony przez samochód, nieruchomy, skulony, zapiaszczony, nie dawał znaków życia. Dowieziony do szpitala z prowadzonym leczeniem ratunkowym, był już dalej reanimowany przez zespół lekarzy ze szpitala. Niestety, nikt i nic nie mogło już przywrócić go życiu. Kiedy przygnębieni poczuciem własnej bezsilności staliśmy jeszcze przy nim, weszła do izby reanimacyjnej jego żona z dwójką dzieci. Zapadła paraliżująca cisza, cisza przeraźliwej pustki. Przerazony i zawstydzony przestałem już więcej uzalać się nad sobą. Gdy założyłem rodzinę, z trudem znalazłem miejsce dla dwojga. Pokoik miał 9 metrów kwadratowych powierzchni. Wystarczyło. Gdy jednak koszt wynajmu za bardzo zbliżył się do wielkości pensji młodego lekarza, trzeba było szukać innego miejsca – oczywiście bez możliwości zameldowania. Wędrowni zakończył przydział mieszkania z puli miejskiej, przeznaczonej dla „rozwojowych” pracowników wyższych uczelni. Byłem dumny, że ja i już rozrastająca się rodzina, mamy swoje gniazdo. Z dawnych, powtarzanych przez pokolenia powiedzeń zapamiętałem i to, że „mężczyzna powinien w swoim życiu zasadzić drzewo, mieć syna i zbudować dom”. Instynkt gniazda jest zakodowany w ośrodkowym układzie nerwowym ptaków i ma odbicie w jego budowie [8]. Instynkt gniazda, jako swojego miejsca do bezpiecznego życia oraz wychowania potomstwa, jest silny i u człowieka. Typowe w trzecim trymestrze ciąży dążenie przyszłych mam do porządkowania i upiększania mieszkania jest także działaniem instynktownym, pozwalającym na zwiększenie wygody przychodzącym na świat dzieciom i stwarzającym dobre warunki do wytworzenia wzajemnego przywiązania matki i dziecka [9]. Dom rodzinny i rodzinne strony, w których wzrastałem, z czasem coraz bardziej idealizowałem. Piękne wspomnienia stały się układem odniesienia do teraźniejszości i jednocześnie kotwicą emocjonalną, pozwalającą na poczucie ciągłej tożsamości. Myślę, że przywiązanie do ludzi i miejsc, w których się było, stanowi naturalne łącze z innymi i sobą samym, w różnym czasie i przestrzeni [10].

Poczucie klęski przeżywa człowiek bezdomny, choć nie jest też szczęśliwy człowiek w domu, w którym nie czuje się ani wolny, ani bezpieczny. Dobry dom, to dom, który zwiększa bezpieczeństwo, nie narusza wolności i umożliwia rozwój. Bez mieszkania w miejscu, w którym chciałem żyć i założyć rodzinę, czułem się kimś mniej zaradnym, gorszym. Czy można być bezdomnym z wyboru?

Przyczyną bezdomności bywają nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, skrajna bieda, urazy i choroby mózgu, w tym bardzo często uzależnienie od środków odurzających. W czasie jednego z ostrych dyżurów szpitala przyjęto do oddziału, w którym byłem stażystą, znalezione pod jednym z poznańskich mostów nieprzytomnego człowieka. Nie pamiętam co było powodem utraty przytomności. Być może było to wychłodzenie, być może nieleczona cukrzyca albo inna jeszcze przyczyna. Umyty, uczesany, przebrany w czystą, białą koszulę starszy człowiek miał inteligentny wyraz twarzy, spokojnie z uśmiechem rozglądał się wokół. Jasny, z sięgającą pasa siwą brodą, wyglądał jak jeden z dawnych proroków. Wyrażał się kulturalnie, rzeczowo, dysponował dużą wiedzą ogólną i potrafił dyskutować umiejętnie, nikogo nie obrażając. Zdarzało się, że czasami ktoś wchodził do sali, gdzie siedział w łóżku odratowany sublokator podmościa i uderzony jego dostojnym wyglądem, odruchowo witał; „dzień dobry, panie

profesorze !”.” Profesor” dobrotliwie uśmiechając się, odkłaniał. Kiedy po kilkudniowym leczeniu, jako sprawny miał być wypisany do domu, okazało się, że domu nie ma. Ponieważ zdobył powszechną sympatię, z dyrekcją szpitala włącznie, znaleziono możliwości czasowego pobytu „profesora” w jednym z ośrodków opiekuńczych, a nawet obiecano pomoc w staraniach o stały dach nad głową. Kiedy z dumą przedstawiono starszemu panu możliwości pomocy, ten uprzejmie, lecz zdecydowanie, odmówił. Powiedział, że w świecie ludzi udomowionych czuje się mniej bezpiecznie niż w świecie ludzi wolnych. Świat wolny od przywiązania do miejsca i licznych obowiązków, które się z tym wiążą, był jego światem. Dzisiaj rano spotkałem młodszego ode mnie człowieka, którego widuję od lat. Nie pracuje, ale za to pije za uzbierane pod kościołem pieniądze. Był dobrze ubrany i jak na wczesną porę dnia trzeźwy i uprzejmy. Ponieważ często przechodziłem do szpitala obok „jego miejsca pracy”, znamy się i mijając pozdrawiamy. Przed laty był emanacją młodości, siły i optymizmu, dzisiaj zestarzał się już i wygląda jak smutny, proszący szkielet człowieka. On patrzył na mnie jak na zniewolonego naiwniaka, który musi codziennie chodzić do pracy, ja zaś nie widziałem w nim człowieka wolnego – przestrzennie tak, ale zniewolonego uzależnieniami. Żal mi go, bo nadal nie godzi się przyjąć rzeczywistej pomocy. Cierpi nie godząc się na niewielkie cierpienie, jakim jest codzienne wykonywanie obowiązków w odpowiedzialności za siebie i innych.

Z kim żyć dalej, czyli czy miłość to chytra pułapka natury, czy coś więcej?

Kilku moich kolegów zgodziło się na częściowe udomowienie, to znaczy mają swoje mieszkania, a nawet domy, ale nie założyli rodziny. Jeden z nich powiedział otwarcie, że małżeństwo to kiepski interes. Dzisiaj zmienił nieco zdanie, bo samotność i lęk o brak możliwości opieki, gdy będzie potrzebna, zdaje się podważać słuszość wcześniejszej decyzji. Większość kolegów udomowiła się w pełni. Pod koniec studiów śluby małżeńskie były coraz częstsze. Rozważaliśmy kiedyś w męskim akademiku, czy miłość romantyczna mężczyzny do kobiety jest tylko chytrą pułapką natury, podtrzymującej przeżywanie gatunków na Ziemi, czy też jest czymś więcej, co wykracza poza materię ciała. Niepraktyczne na co dzień pytanie, postawiliśmy kiedyś, by dokuczyć zakochanemu koledze. Był dla nas przypadkiem klinicznym, kiedy godzinami patrzył w sufit, ciężko wzdychał, gdzieś potem wybiegał, a po powrocie znowu przeżywał i wzdychał do swego ideału. Ideałem była koleżanka ze studiów. Rzeczywiście ładna i sympatyczna. Patrzyliśmy na kolegę z zaciekawieniem i troską. Nie zachowywał się przecież normalnie. By sprowadzić go na ziemię, zaczęliśmy się odwoływać do podstaw naukowych relacji męsko-damskich, twierdząc, że miłość romantyczna to nic innego, jak wrodzone różnice genetyczne i zakodowany w nich program zmian fizjologicznych, które mają na celu przekazanie życia dalej. Wielkie oprawy poetyckie, muzyczne i inne rozbłyski kultury są niczym innym, jak odbiciem emocjonalnym burz hormonalnych, zmieniających wzajemne postrzeganie dwojga ludzi płci odmiennej, z jednoczesnym upośledzeniem rozumu. Kolega oczywiście bohatercko zaprzeczał cynicznym poglądom. Dyskusja stała się gorąca, przeniosła się do wspólnej kuchni i zaangażowała wszystkich mieszkańców baraku. Na oficjalnych zajęciach z medycyny nigdy takiej dyskusji nie było. Wszyscy mieli coś do powiedzenia. Skończyła się, gdy w kuchni pojawił się szczypiący w oczy dym ze spalonej na patelni kiełbasy. Ostatecznie koledzy bardziej doświadczeni uznali, że biologia jest fundamentem męsko-damskiej atrakcyjności, ale nie tłumaczy ona wszystkiego. Zatem poza materią, postrzeganą racjonalnie, wiąże kobiety i mężczyzn w małżeństwa coś, co wymyka się rozumowaniu, opartemu na ograniczonej przecież wiedzy formalnej. Nasz romantyczny kolega zakończył studia dyplomem oraz węzłem małżeńskim z adresatką westchnień. Węzeł okazał się trwały. Co ja sam myślę dzisiaj o romantycznej miłości i małżeństwie?

Myślę, że nie mam powodu, by się tu wymądrzać. Chciałem odwoływać się do Platona, do Kanta, ale przecież to nie najmądrzejsze nawet myśli innych ludzi decydują, czy związek kobiety i mężczyzny jest trwały i czy pomaga rozwijać się obojgu założycielom rodziny. Decyduje sprawdzian z całego, wspólnego życia.

Przed półwieczem odczułem porażającą potęgę działania natury. Pewnego dnia pojawił się niespodziewanie w zespole pracowników oddziału nowy byt materialno-duchowy. Byt był zdecydowanie rodzaju żeńskiego – młody, krótko po maturze, miał jasne włosy i niebieskie oczy, o szerokich żrenicach. Duchowej strony bytu nie dostrzegałem, bo nie miałem czasu ani okazji, ale część materialna bytu wywołała we mnie gwałtowne zakłócenie równowagi poznawczej i gwałtowne reakcje emocjonalne, z odsunięciem na dalszy plan sprawności chłodnego rozumowania. Włączyły się we mnie wszystkie mechanizmy natury, którymi ta zapewnia trwanie życia na Ziemi,

w tym gatunku homo sapiens. Do zauroczenia dołączyło pożądanie a następnie życzliwość. Wstępne upodobanie utrzymywało się lata i nadal trwa, choć ciągle zmienne i ciągle czymś nowym podtrzymywane. Obiekt upodobania i pożądania, pozostając atrakcyjnym bytem materialnym, z czasem odślaniał swoją duchową postać. Poznawaliśmy siebie wzajemnie i wzajemnie odkrywaliśmy w sobie zalety i wady. Decyzję o gotowości wspólnego życia, potwierdzonego przyrzeczeniem nie „na niby” i nie „na próbę” podjąłem wtedy, gdy już oboje przechodziliśmy od rajskiego zachwyty sobą do konkretów życia poza rajskim ogrodem. To, co mnie zauroczyło: jasne włosy i niebieskie oczy, które wpatrzone we mnie miały szersze źrenice, co zazwyczaj świadczy o sympatycznym, pozytywnym nastawieniu, okazało się moim błędem interpretacji. Włosy były rozjaśniane odpowiednimi płynami do włosów, a źrenice były sympatycznie poszerzone ze względu na wadę wzroku i niechęć do noszenia okularów. Czy poczułem się tym oszukany? Raczej zmieszany swoim chęćstwem widzenia tego, co chciałem widzieć zamiast tego, co jest. Byłem już na dalszym etapie poznawania istoty, która mnie zauroczyła i z większym pobłażaniem podchodziłem do jej różnorodnych prób stawania się piękniejszą czy robienia lepszego wrażenia na otoczeniu, o ile nie stanowiło to zagrożenia. Rozum z wolna odzyskiwał we mnie sprawność, więc rozpoznawałem też wady obok zalet osobowości wybranki. To burzliwie, to spokojnie falowały emocje. To one, wraz z ujmującymi mnie cechami osobowości, sprawiły, że przestałem w mojej sympatii widzieć tylko urokliwe zjawisko, pozwalające jedynie na miłe spędzanie chwil. Poczułem się gotowy do wspólnej drogi i poczułem się na tyle silny, że nie bałem się odpowiedzialności za wspólne życie i założenie rodziny. Oboje uznaliśmy, że damy sobie radę. Niedługo minie 50 lat wspólnego trwania w małżeństwie, wspólnego wspierania się w trudnych chwilach, których nigdy nie brakowało. Minęły młodość i wiele wiosennych powabów z nią związanych, ale pozostały przywiązanie, poczucie jedności, wzajemne zrozumienie i życzliwość. Nie wiem, czy moja żona odczuwa gorycz niespełnionych, dziewczęcych marzeń i starzenie się ciała, przy odczuciu bycia ciągle taką samą, ciągle młodą. Nie wiem, bo choć jesteśmy już tak długo razem, to jednak ciągle stanowimy dla siebie zagadkę. Nie było czasu na filozoficzne rozmyślenia nad sobą, gdy szykowała się do pełni życia dwójka naszych dzieci. Czy były one z nami szczęśliwe? Chyba nie zawsze. Dokuczał im brak czasu spędzonego z nami, mogły nie czuć się dość kochane, gdy my zajęci byliśmy sobą i swoimi sprawami. Dzisiaj same budują swoje rodzinne więzi, starając się uniknąć błędów, jakie odczuwały w postawie swoich rodziców. Jednego jestem dzisiaj pewien, nie utrzymalibyśmy bezpiecznie naszej rodziny bez miłości. Nie tylko jako gwałtownej burzy uczuć, napędzanej pożądaniem i egoistyczną potrzebą jego zaspokojenia, ale zdolności współodczuwania, odpowiedzialności wzajemnej za siebie, wynikającej nie tyle z obowiązku, ile z naturalnej potrzeby życzliwości, potrzeby dzielenia się kłopotami i potrzeby dzielenia się radościami. Kłopoty przeżywane wspólnie są o połowę mniejsze. Radości dzielone wspólnie, stają się większe i mnożą w takim nietypowym podziale. Żeniąc się z moją wybranką losu nie straciłem wolności osobistej. Przez wspólne, jednoczesne przeżywanie, widziałem i analizowałem świat moimi oczami i oczami mojej żony. Przestrzeń widzenia rzeczywistości, a i przestrzeń wolności, poszerzyły się. Nie wiem, jaki długi mamy przed sobą czas bycia razem i jak się w nim będziemy sprawdzać. Wydłuża się czas, bo zwalniają nasze biologiczne zegary. Dłużej będziemy ze sobą razem, oboje coraz słabsi, coraz bardziej niecierpliwi, coraz bardziej niespokojni co do przyszłości. Trudny egzamin. Czy zdamy?



Rycina 2. Rozpacz nagłego rozstania

(<https://scienceblogs.com/grrlscentist/2008/10/31/one-of-lifes-tiny-dramas>)

Przygotowując kiedyś wykład na temat bólu znalazłem poruszający film, którego autor zapisał dramat pary jaskółek. Jedna z nich wróciła i znalazła współtowarzyszkę (współtowarzysza?) uderzoną przez samochód i niezdolną pomimo zachęt do lotu. Partner jej nie zostawił, przylatywał i próbował karmić złowionym owadzi pokarmem. Gdy przyleciał kolejny raz ranna jaskółka już się nie poruszyła. Jej partner odczuł gwałtowny ból ciosu śmierci w najbliższą osobę. Po krzyku przerażenia wydał głośny pisk bólu a potem skulony zamilkł. Studenci i ja byliśmy poruszeni tym, jak wiele nie wiemy o bólu i o tym, że miłość, życzliwość i przywiązanie do drugiej osoby pokonuje egoizm samoluba, choć uwrażliwia na piękno, radość ale i ból. Małe, nieznanne jaskółki uczyły o miłości, która jest fundamentem życia i ludzi i innych stworzeń. (zdjęcia zamieściłem z cichym przekonaniem, że ich autor nie ma nic przeciwko temu, żeby bezinteresownie pokazać je także Czytelnikom naszego pisma).

Od starożytności do dzisiaj spieramy się o rodzinę. Dla Platona było nią państwo, dla którego najlepsza młodzież w określonym okresie życia miała rodzić zdrowe i zdolne dzieci. Gdyby się rodziły z rodziców nie uznanych za państwo za właściwych i we właściwych warunkach, należało je pozostawić dyskretnie, by zmarły z głodu [11]. Immanuel Kant w „Metafizyce moralności” uznał za fundament małżeństwa i rodziny, zespolenie seksualne kobiety i mężczyzny oraz ich związanie umową prawną, z prawem co do osoby przypominającym prawo do rzeczy. W mowie o wzbudzaniu potomstwa jest mowa o naturalnym prawie, zaś miłość, jako najsilniejsze spoiwo zabezpieczające rozwój i dobrobyt rodziny w świecie, ze wspólnym otwarciem się na ten świat, nie została przez filozofa wyróżniona, jako szczególnie ważna [12]. Przy całym szacunku dla Platona i Kanta, nie podzielam ich niezrozumienia roli rodziny dla rozwoju człowieka i całych społeczeństw. Bliższym mi jest rozumienie Karola Wojtyły wielkiego znaczenia rodziny i znaczenia wielkiego dynamizmu emocji w miłości, zharmonizowanego z zachowaniem rozumnej odpowiedzialności za siebie i za osobę obdarzającą i obdarzaną miłością. W swojej książce „Miłość i odpowiedzialność” stwierdza, że: *Miłość osoby do osoby musi być życzliwa, inaczej nie będzie prawdziwa. Więcej – nie będzie w ogóle miłością, będzie tylko egoizmem... bo; Życzliwość to tyle, co bezinteresowność w miłości: „Nie pragnę ciebie jako dobra”, ale: „Pragnę twego dobra”, „Pragnę tego, co jest dobrem dla ciebie” – osoba życzliwa pragnie tego bez żadnej myśli o sobie, bez żadnego względu na siebie [14].* *Poczucie odpowiedzialności za drugą osobę bywa pełne troski, ale nigdy nie jest samo w sobie przykre czy bolesne. Dochodzi w nim bowiem do głosu nie zacieśnienie czy też zubożenie człowieka, ale właśnie jego wzbogacenie i rozszerzenie. Dlatego też miłość oderwana od poczucia odpowiedzialności za osobę jest zaprzeczeniem samej siebie, jest zawsze i z reguły egoizmem. Im więcej poczucia odpowiedzialności za osobę, tym więcej prawdziwej miłości. Miłość angażuje wolność i napełnia ją tym, do czego z natury łągnie wola, napełnia ją dobrem. Wola dąży do dobra, a wolność jest własnością woli, i dlatego wolność jest dla miłości, przez nią bowiem najbardziej człowiek uczestniczy w dobru. To jest istotny do jej pierwszeństwa w porządku moralnym, w hierarchii cnót oraz w hierarchii zdrowych tęsknot i pragnień człowieka. Człowiek pragnie miłości bardziej niż wolności - wolność jest środkiem, a miłość celem. Pragnie jednak człowiek miłości prawdziwej, bo tylko opierając się na prawdzie możliwe jest autentyczne zaangażowanie wolności. Wola jest wolna, a równocześnie „musi” szukać dobra, które odpowie jej naturze, jest wolna w szukaniu i wybieraniu, ale nie jest wolna od samej potrzeby szukania i wybierania [13].*

Nie przejmowałem się w młodości nadmiernie mądrościami filozofów i uczonych. Nie powstrzymały mnie też dobre rady kolegów, jak te, że stracę moją wolność, żeniąc się i przyjmując zobowiązania wobec drugiej osoby. Nie żałuję, przeciwnie, czuję się pogodnie szczęśliwy zwykłym, codziennym szczęściem. Czuję ciepło jesieni wspólnego życia. Za moją żonę nie będę się wypowiadał. Ona wie swoje, niekoniecznie wie to samo i to samo czuje, co ja. Zdecydowanie nie robi wrażenia osoby cierpiącej ograniczenie wolności.

Gdy kończę swoje przydługie wspominki z minionych lat lata życia, wokół mnie zmienił się świat. W nasze codzienne życie wkroczył strach przed skutkami zakażenia kolejnym, nowo poznanym wirusem COVID-19, rozprzestrzeniającym się szybko z dalekiego wschodu na pozostałe okolice ziemskiego globu. Strach sparaliżował państwa, w tym Polskę, i zmusił wszystkich do ograniczenia codziennej szamotaniny, dla zaspokojenia ciągle większych potrzeb. Jest początek maja i zaczęliśmy się wszyscy oswajać z nową sytuacją. Wolno już wchodzić do lasów i parków, zachowując bezpieczne ograniczenie kontaktów z potencjalnymi nosicielami tajemniczego wirusa. Kiedy po długiej przerwie znowu odwiedziłem Marceliński Las, przy wejściu do alejki leśnej, blisko stawu, na którym dzikie kaczki bez lęku i ze zdziwieniem przyglądały się powracającym ludziom, ktoś przymocował do drzewa kartkę z wyraźnym tekstem: „ Człowieku! Brakuje mi Ciebie – Twój Las”. Człowiekowi brakowało lasu

i brakowało kontaktu z innymi ludźmi. Potrzebę spotkania z innym człowiekiem wyczuwałem wszędzie. Największe wrażenie zrobiło na mnie jednak radosne ożywienie Lasku Marcelesińskiego wrzawą radosnych okrzyków i rozmów szczęśliwych dzieci. Las zrobił się radosny! Dzieci dumnie paradowały ze swoimi rodzicami, jeździły na rowerkach, bądź biegały, bądź królewsko rozglądały się ze swoich wózków, popychanych przez rodziców lub babcię. Nareszcie rodziny miały trochę czasu dla siebie. Poczulem w sobie żal za czymś, co mogło być inne, lepsze, a czego już nie zmienię, bo szansa na to minęła. Ponieważ oboje z żoną byliśmy zabieganymi lekarzami, ciągle szkolącymi się, ciągle zajętymi rozlicznymi obowiązkami zawodowymi, nie mieliśmy dla naszych dzieci tyle czasu i nasze wspólne z nimi chwile, które chce się pamiętać, były zbyt rzadkie. Nie mówiły nam dzieci, że im przykro, że miały do nas żal, czując się mniej kochane niż inne dzieci, dla których rodzice mieli więcej czasu. Córka do dzisiaj jednak pamięta, jak siedziała na progu przedszkola ze swoją wychowawczynią, już po godzinie zamknięcia, i czekała, aż ktoś ją odbierze. Mama miała dyżur, a tata anestezjolog, czuwał nad znieczulonym chorym, ponieważ zabieg chirurgiczny wydłużał się wskutek niespodziewanych komplikacji.

Zobowiązanie wobec dziecka i wobec jeszcze bardziej bezbronniejszego niż dziecko pacjenta zmuszało do dokonania wyboru. Oczywiście, musiał wygrać bezbronny, znieczulony chory. Żal w sercu dziecka pozostał, bo poczuło się ono kolejny raz odrzucone. Pozostał i we mnie, bo poczułem się bezsilny wobec niektórych wyzwań.

W życiu naszej rodziny medycyna była ważna, była wymagająca. Czy wypełniła pokładane w niej oczekiwania przewodnika wiodącego właściwą drogą życia? Nie wiem. Postaram się sprawdzić to w moim lusterku pamięci w dalszej części wspomnień.

Leon Drobniak

Piśmiennictwo/References

1. Thorwald J. Pacjenci. Warszawa: Instytut Wydawniczy Pax; 1973.
2. Sabbagh M, Bowman L. Theory of Mind. 2018. 10.1002/9781119170174.epcn408.
3. Rolls ET. Emotion and reasoning in human decision-making. *Economics: The Open-Access, Open-Assessment E-Journal*, 2019,13 (2019-39): 1–31.<http://dx.doi.org/10.5018/economics-ejournal.ja.2019-39>.
4. Boddy AM, Fortunato A, Wilson Sayres M, Aktipis A. Fetal microchimerism and maternal health: A review and evolutionary analysis of cooperation and conflict beyond the womb. *BioAssays*. 2015;37:1106-18.
5. Grossmann T, Missana M, Krol KM. The neurodevelopmental precursors of altruistic behavior in infancy. *PLoS Biol*. 2018;16(9):e2005281. Published 2018 Sep 25. doi:10.1371/journal.pbio.2005281.
6. Pletti C, Scheel A and Paulus M. Intrinsic altruism or social motivation—What does pupil dilatio tell us about children’s elping Behavior?. *Front. Psychol*. 2019, 8:2089. doi: 10.3389/fpsyg.2017.02089.
7. O’Connell K, Brethel-Haurwitz KM, Rhoads SA i wsp. Increased similarity of neural responses to experienced and empathic distress in costly altruism. *Sci Rep*. 2019;9(1):10774. Published 2019 Jul 24. doi:10.1038/s41598-019-47196-3.
8. Hall ZJ, Meddle SL, Healy SD. From neurons to nests: nest-building behaviour as a model in behavioural and comparative neuroscience, *J Ornithol*. 2015, 156 (Suppl 1):S133-S14.
9. Anderson MV, Rutherford MD. Evidence of a nesting psychology during human pregnancy, *Evolution and Human Behavior* 2013, 34 : 390-397
10. Giuliani MV. Theory of attachment and place attachment. W: Bonnes M, Lee T, Bonaiuto M (eds.). *Psychological theories for environmental issues*; 2003. p. 137-170.
11. Platon. Państwo. Kęty: Wydawnictwo ANTYK; 2001. str. 160-161.
12. Kant I. *Metafizyka moralności*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN; 2005. str. 108-118.
13. Wojtyła K. Miłość i odpowiedzialność. https://www.zwola-old.karmelicibosi.pl/p/z/formacja/milosc_i_odpowiedzialnosc.pdf, str 51-52, 85-88.